Nr. 35. Lwów — Sroda dnia 12 Lutego. Rok 1902.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h. w Niemczech . . . . . 3 „ — „ w innych Państwach . . 4 „ — „ Za zmianę adresu dopłaca się 40 „ Opłatę należy nieść równocześnie z żądaniem zmiany adresu. Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k. Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h. na prowincyi . . . . 12 h. Numera z poprzednich dni po 20 h.

Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9. Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h. W drobnych ogłoszeniach: tłustym petitem za każde słowo 4 h. tłustym garmondem „ „ 6 h. koresp. prywatne „ „ 8 h. Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . . . 60 h. Reklamy po kronice wiersz petit 1 k. Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 60 h.

Dziś: Popielec. Eulalii | Trzech książąt K. | Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski. | Wschód słońca o g. 7 m. 20 | Długość dnia godzin 9 minut 51
Jutro: św. Katarzyny Ricci | Cyrusa i Jana | | | Zachód „ „ 5 m. 11 | Przybyło dnia od wczoraj 3 min.

Walka o hegemonię.

Kilka tygodni temu wisiała na włosku wojna między Argentyną a Chilą, po obu stronach Andów już się rozlegał szczęk broni, nieprzyjacielskie pułki zbliżały się ku sobie; wtem — nastała cisza: w ostatniej chwili obie republiki zgodziły się na sąd rozjemczy króla angielskiego Edwarda VII. Lecz teraz znowu wstąpił w nie duch wojowniczy, znowu chcą one oddać swój spór na sąd miecza. Powodem tej zmiany jest wrzekomo dwulicowość Chili, która, zgodziwszy się na sąd rozjemczy, jednocześnie potajemnie zakupiła w Anglii karabinów za półtora miliona funtów szterlingów, a warsztatom okrętowym brooklyńskim, u których zamówiła kilka pancerników, przyrzekła zapłacić po dziesięć tysięcy funtów szterlingów nagrody za każdy miesiąc prędszej dostawy tych okrętów. W Argentynie więc powiedziano, że Chili widocznie po to jedynie zgodziła się na sąd rozjemczy króla Edwarda, aby zyskać na czasie, lepiej się uzbroić, a potem wywołać byle jaką nową sprawę i już się nie odwoływać do polubownych wyroków, lecz zacząć wojnę. Położenie więc znowu się zaostrzyło — i może wcale nie przyjdzie do rozsądzenia zatargu przez króla Edwarda.

Czytelnicy nasi już znają powód zatargu, więc o nim wspomniemy tylko w paru słowach. Chodzi o ustalenie lądowej granicy między temi republikami. Niegdyś obie one należały do hiszpańskiej korony. Król Karlos IIgi dekretem z 21 maja 1684 roku orzekł: „Grzbiet górski Newada oddziela Chili od prowincyi Rio de la Plata i Tukumamu“. Nie było to ściśle odgraniczenie, albowiem nigdy nie określono, co jest grzbietem Newady: czy te punkty, z których rzeki płyną w dwie przeciwne strony: jedne do oceanu Atlantyckiego, a drugie do Spokojnego, a więc oczywiście punkty najwyższe, czy też szereg odosobnionych wyniosłych skał, tworzących rodzaj grzebienia, który ciągnie się bliżej oceanu Spokojnego aniżeli owe punkty rozdziału wód. Lecz chociaż to rozgraniczenie króla Karlosa II było nieścisłe, nikt o to nie dbał, bo raz, że obie prowincye należały do jednej hiszpańskiej monarchii, w której słońce nie zachodziło, a powtóre, że były to okolice zupełnie pustynne. Ale zmieniła się sytuacya, gdy z prowincyi Rio de la Plata i Tukumamu powstała niepodległa republika argentyńska i gdy Chili stała się niepodległem państwem. Jeżeli orograficzną zasadę przyjąć za podstawę przy określeniu granicy, to Chili traci 1000 kilom. kw. obszaru, a jeżeli przyjąć przytem zasadę hydrograficzną, to tyleż traci Argentyna. Przedmiot wart sporu, który też powstał w 1848ym, ale wtedy obie republiki pogodziły się w kilku innych kwestyach, a tę zostawiły otwartą, albowiem w najludniejszych swych okolicach miały, nie licząc miast, po dwóch ludzi na kilometr kwadratowy. Teraz mają ich po pięciu, więc także mogłyby się nie sprzeczać i nie grozić sobie wojną o niezajęte skaliste obszary, lecz stoją za niemi inne potęgi, które popychają je do tej wojny.

Jest to walka świata łacińskiego z anglo-germańskim o hegemonię w Ameryce południowej. W bogatej Argentynie przeważa żywioł włoski i hiszpański. Ta republika wraz z Brazylią i Urugwayem silnie zaznaczyła swe łacińskie ideały na przeszłorocznym kongresie w Madrycie i na tegorocznym w Meksyku. One trzy, a za niemi Boliwia, oświadczyły, że nie uznają panamerykanizmu i nie sądzą, aby mogły żyć wspólnem życiem z anglo-germańską Ameryką północną. Oczywiście, to się ogromnie nie podobało Anglo-sasom i Germanom, zaczęli więc oni dążyć do osłabienia owych trzech łacińskich republik. Poczyniono już im niektóre utrudnienia handlowe, lecz tego niedość, trzeba jeszcze zadać im orężną klęskę, a potem — opanować je ekonomicznie. Dlatego Stany Zjednoczone, Anglia i Niemcy nietylko chcą wojny między Chilą a Argentyną, ale podobno nawet podżegają do niej i mają przytem nadzieję, że stanie się ona powszechną w Ameryce południowej, albowiem są dane do przypuszczenia, że między Argentyną, Brazylią, Urugwayem i Boliwią istnieje tajny sojusz.

Służbę młota anglo-germańskiego ma spełnić Chili. Jest to republika znacznie zgermanizowana i zyankesowana. Największe bogactwo Chili: kopalnie saletry i kopalnie guana, z których podatki pokrywają połowę budżetu dochodów państwowych, są wyłączną własnością firm niemieckich. Handel sierścią, bydłem i bakaliami, opanowali Yankesi. Chilijskie papiery wartościowe znajdują się tylko w Niemczech, Anglii i Stanach. Chilijską armią dowodzi pruski jenerał Körner, oficerami są prawie bez wyjątku Niemcy. Dobra, lubo niezbyt liczna flota wojenna chilijska stoi pod komendą Anglików, albo obywateli Stanów. Wreszcie w kraju są dwa stronnictwa: konserwatywne, które przechyla się ku ideałom łacińskim, a nienawidzi niemieckich, oraz anglo-saskich przybyszów, — i stronnictwo „kongresistów“, złożone bądź z naturalizowanych w republice Anglo-Sasów i Niemców, bądź z ich zwolenników. Po ostatniej domowej rewolucyi, po obaleniu konserwatywnego prezydenta Balmasedy, to stronnictwo kongresistów rządzi krajem i oczywiście jest posłuszne swym protektorom.

Jest więc stosowna chwila do uderzenia w łacińską Amerykę południową młotem anglo-germańskim za pomocą Chili. Taki jest wewnętrzny, rzeczywisty powód zatargu Argentyny z Chilą. Chodzi o to: kto kiedyś zapanuje nad olbrzymim lądem południowej Ameryki: rasa łacińska, czy rasa anglo-germańska?

Umowa mandżurska.

Równo ze śmiercią Lihungczanga zaczął się opór rządu chińskiego przeciw zawartemu przezeń układowi z Rosyą o Mandżuryę, która miała się stać krajem wspólnym jednocześnie chińskim i rosyjskim. Cywilny zarząd byłby chiński, a wojskowy rosyjski; podatków wolno byłoby zużywać tylko na miejscowe potrzeby; w szkołach wykładanoby język rosyjski; prawosławie otrzymałoby te same prawa, co narodowe wyznanie chińskie. Jeżeli do tego dodać, że w głównem mieście prowincyi, w Mukdenie, przebywałby stale z licznym sztabem rezydent rosyjski, obdarzony prawem kontrolowania wszelkich czynności mandarynów i wspierania ich rosyjskiem wojskiem, a obdarzony także możnością pozyskiwania dla siebie chińskich urzędników, to łatwo przewidzieć, że Mandżurya, jako kraj wspólny chińsko-rosyjski, zwolna stawałaby się coraz bardziej rosyjską, a coraz mniej chińską, aż kiedyś, bez wstrząśnień weszłaby całkowicie w granice caratu. Tę właśnie umowę Lihungczanga odrzucił nowy rząd chiński, a nowy kanclerz Junglu zażądał od Rosyi wycofania wojsk z Mandżuryi. W końcu jednak zawarto nową umowę, podług której Rosya wycofa wojska, nie będzie miała rezydenta w Mukdenie i nie narzuca żadnych warunków co do użycia podatków, słowem oddaje Chinom Mandżuryę, ale za to wszystko tylko ona jedna będzie miała prawo handlować w tej prowincyi, tylko dla niej otwarte będą mandżurskie porty, tylko ona może eksploatować tamtejsze kopalnie, a wreszcie wolno będzie Rosyanom bez żadnych przeszkód osiadać w Mandżuryi, zakładać tam wioski, rządzące się autonomicznie, budować cerkwie i klasztory, a wreszcie powiększać sieć własnych kolei. Z chińskiego punktu widzenia, ta nowa ugoda jest lepsza od dawnej, bo zawsze przecież Mandżurya pozostanie pod jedną chińską władzą, i choć może się zrosyanizować, ale nie tak prędko, jakby się zrosyanizowała przy warunkach pierwszej ugody. Ale dla mocarstw ta druga umowa jest gorsza, bo dla ich handlu i przedsiębiorstw zupełnie zamyka Mandżuryę, podczas gdy pierwsza ugoda czyniła tę prowincyę wprost otwartą dla światowego handlu i przemysłu, jak inne nadoceanowe prowincye Chin. Dlatego-to po zawarciu tej drugiej umowy, Anglia wnet rozpoczęła rokowania z Niemcami o ustąpienie im wojennego portu Wej-haj-wej, który się znajduje w zatoce Peczyli i dla Niemców, posiadających w pobliżu Kiao-Czau, ma wartość, a dla Anglików już jest bez znaczenia, skoro z Mandżuryą nie będą mogli mieć żadnych stosunków. Wzamian za to Niemcy wyrzekłyby się praw handlowych w dolinie rzeki Żółtej, — praw uzyskanych konwencyą londyńską, zawartą w jesieni 1899 roku. To zamierzone przez Anglię oddanie Niemcom Wej-haj-weju dowodzi, że w Londynie nie liczą na żadne zmiany w drugim układzie chińsko-rosyjskim o Mandżuryę. Lecz Stany Zjednoczone, a za niemi Japonia, zaprotestowały przeciw owemu układowi, jako sprzecznemu z zasadą, przyjętą w protokołach pekińskich, ułożonych przez ambasadorów i pełnomocników chińskich, a podpisanych przez rząd chiński i przez mocarstwa. Tą naczelną zasadą jest postanowienie, że wszystkie nadoceanowe prowincye chińskie będą otwarte dla światowego handlu i że ten morski handel będzie opłacał osobne cło na pokrycie sum, przyznanych mocarstwom za wojenną wyprawę przeciw bokserom. Jeżeli Mandżurya będzie zamknięta dla światowego handlu, to dochód z morskich ceł będzie mniejszy i np. Stany Zjednoczone i Japonia otrzymają swe sumy znacznie później, czego one właśnie nie chcą. Oprócz tego oba te państwa podniosły w swym proteście, że one już posiadają rozgałęzione handlowe stosunki z Mandżuryą i tracić ich nie chcą.

Chociaż tego protestu podobno nie poprą mocarstwa europejskie, zawsze jednak przenosi on znowu sprawę mandżurską na międzynarodową arenę i podnieca Chiny do nowego oporu.

Korespondencye.

Poznań 9 lutego.

Od pewnego czasu utrwalać się zaczyna zwyczaj, co prawda, mniej tutaj, na miejscu, niż w niektórych organach polskiej prasy zagranicznej, przechodzenia nad tak zw. szlachtą poznańską do porządku dziennego, traktowania tej warstwy, odgrywającej do bardzo niedawna jeszcze w tutejszem życiu publicznem rolę decydującą, za coś w rodzaju „quantité negligeable“. Zaprzeczyć się nie da, że demokratyzujemy się z dniem każdym bardziej. Ewolucya ta jest tak radykalna, że nawet arystokratyczny *Kuryer Poznański* wznosi hymn pochwalny na cześć „naszej demokracyi, prawdziwej, zdrowej, dobrej“, nie troszcząc się o to, że w praktyce demokracya nigdy prawie nie jest ani zdrową, ani dobrą.

Tymczasem jednak skazana na wymarcie szlachta nasza nie chce ani umierać, ani nawet abdykować. Dowodzi tego pomiędzy innemi przebieg odbytego przed kilku dniami ogólnego zebrania centralnego Towarzystwa gospodarczego na W. Ks. Poznańskie. W Towarzystwie tem, wyłączającem, nawiasem mówiąc, ze swych narad wszelkie kwestye polityczne, skupiają się najdodatniejsze jednostki naszego stanu ziemiańskiego, aby pracować nad podniesieniem miejscowego rolnictwa. Zapewne, że szeregi ich przerzedzają się z rokiem niemal każdym. Komisya kolonizacyjna w połączeniu z przesileniem rolniczem pochłonęła w ciągu ostatnich lat kilkunastu wśród przedstawicieli większej naszej własności ziemskiej mnóstwo ofiar. Ci jednak, którzy oparli się zwycięsko i ciężkim warunkom bytu gospodarczego i urokowi złota kolon zacyjnego, godnie reprezentują nasze obywatelstwo wiejskie i nie pozwolą upaść tej warstwie, posiadającej dla każdego społeczeństwa tak poważne znaczenie.

Jak w latach poprzednich, tak i tym razem wygłoszono na zebraniach Towarzystwa, oraz pojedynczych kółek, wydziałach cały szereg referatów, dotyczących najrozmaitszych i najważniejszych kwestyj rolniczych. Z referatami tymi łączyła się zwykle ożywiona dyskusya, w której brali udział najwybitniejsi rolnicy naszej prowincyi.

Jednocześnie z centralnem Towarzystwem gospodarczem odbył swe ogólne zebranie założony 12 listopada 1900 r. Związek ziemian. Ze sprawozdania, odczytanego na tem zebraniu, wynika, że wskutek tak nadzwyczaj niekorzystnych warunków Związek nie rozwinął się do takiego stopnia, jakby sobie życzyć wypadało. Liczba członków wzrosła jednak z 200 na 320, posiedzeń odbyła rada nadzorcza wspólnie z zarządem 18. Związek był w roku sprawozdawczym czynnym, jak tego dowodzi ocalenie kilkunastu majątków, które byłyby albo upadły, albo przeszły w inne ręce. Czynność Związku, zgodnie z jego zadaniem, polegała na udzielaniu pomocy przy odpowiedniem uzdrowieniu stosunków finansowych i gospodarczych w majątkach członków, które się zgłosiły do Związku. Wysyłano w tym celu mężów zaufania do każdego z takich majątków. Główną przeszkodę dla korzystniejszej działalności Związku stanowi to, że Związek nie jest zapisany w rejestrze handlowe i wskutek tego, nie posiadając prawa korporacyjnych, tamowany jest we wszystkich operacyach finansowych. Aby usunąć tę niedogodność, zebranie uchwaliło założyć „Spółkę z ograniczoną poręką“. Spółka ta udzielać ma rady w kwestyach finansowych i administracyjnych, pośredniczyć w sprzedaży i wydzierżawianiu, lub częściowem parcelowaniu majątków i wreszcie nabywać majątki, nie nadające się do parcelacyi, dające jednak gwarancyę, że przyniosą odpowiednie odsetki od włożonego w nie kapitału. Udział pojedyńczego członka wynosić ma 1.000 mar. i na taką samą sumę obejmuje odpowiedzialność.

Ze sprawozdania kasowego dowiadujemy się, że obrót ogólny funduszów Związku wynosił od 12 listopada 1900 r. do końca grudnia 1901 r. 58,553 marki. W tej kwocie jest składek członków wraz z odsetkami 9,924 m., z których na koszta handlowe wydano 1,408 m., tak, iż zapas gotówki wynosił d. 31 grudnia 1901 r. 8,516 m. Reszta, czyli 50,036 m., przedstawia sumy przejściowe, wyłożone przez Związek dla interesantów i zwrócone.

W ścisłym związku z centralnem Towarzystwem gospodarczem pozostaje instytucya kółek włościańskich. Z czynności tej instytucyi, która tak olbrzymie położyła zasługi około moralnego i materyalnego podniesienia się naszego stanu włościańskiego, zdawał na jednem z posiedzeń Towarzystwa obszernie sprawę nowy patron Kółek.

Przez wiek prawie cała ludność poznańska kołatała do decydujących sfer berlińskich o utworzenie uniwersytetu w Poznaniu. Przekonawszy się o ich bezskuteczności, zaniechała w ostatnich czasach tych zabiegów. Krańcowości stykają się jednak z sobą. Obecnie więc hakatystyczna *Evangelische Kirchenzeitung* domaga się założenia w Poznaniu uniwersytetu, któremu przyświecać będzie „wzniosłe i piękne zadanie“. Ma on być krzewicielem „prawdziwej kultury“ wśród ludu, „trzymanego w ciemnocie i zabobonie“, a jednocześnie i „rozsadnikiem niemieckiego ducha“ wśród narodu, pałającego nienawiścią ku wszystkiemu, co niemieckie.

Ten sam organ pastorów protestanckich zachęca rząd do zwalczania katolickich Polaków, gdyż oni tylko są wrogami państwa pruskiego. Natomiast protestanccy Polacy są „wiernymi poddanymi pruskimi“. „Katolicyzm i rewolucyjny polonizm“ są zdaniem *Kirchenzeitung* nierozdzielne i dlatego państwo winno wzmacniać protestantyzm w W. Ks. Poznańskiem i pozwalać na to, aby Polak protestant pozostał Polakiem.

Ciekawą, acz niewiadomo dotąd, czy i o ile zgodną z prawdą wiadomość, podają tutejsze *Neueste Nachrichten*. Otóż podług informacyi tego pisma „deszcz złota“ spadł na kilku właścicieli ziemskich w okolicy miasta Grodziska. Projektowano bowiem założenie we wsi Ujeździe cukrowni i rafineryi. Już był zapewniony kapitał akcyjny w wysokości 2 milionów marek. Syndykat cukrowy jednak, który niechętnem okiem spoglądał na projektowane przedsiębiorstwo, zawarł ze spółką, zamierzającą budować cukrownię, następującą umowę: Kartel cukrowy zapłaci 200.000 m.; natomiast akcyonaryusze spółki obowiązują się w ciągu pięciu lat nie zakładać nowej cukrowni, ani nie dostarczać buraków w razie, gdyby nową cukrownię założono w tej okolicy. Z tych 200.000 marek przypadło w stosunku do przyjętych akcyj na Ujazd 80.000 m., na Czacz 36.000 m., na Granówko 26.000 m., na Karczewo 10.000 m., na Granowo 9.000 marek itd. Wszystkie powyżej wymienione majątki są w rękach polskich.

Polityka ofiar.

Lutowy zeszyt *Przeglądu Polskiego* zawiera następujące znakomite uwagi z powodu ostatnich zajść we Lwowie:

Gdyby Prusacy byli obstalowali, gdyby byli najęli, nie mogliby wymyśleć i urządzić nic dla siebie lepszego, jak ta demonstracya, która się patryotyczną mianowała. Służy im ona, i będzie służyła długo, za dowód niby tej agitacyi polskiej, która ma niby powodować i tłómaczyć ich bezprawia. Potem służy im doskonale wobec rządu rosyjskiego. Po procesie wrzesińskim był w Warszawie tłumny pochód do konsulatu pruskiego i zrzucenie czy uszkodzenie pruskiego orła. Już to było złe, niemądre, bo dawało Prusom jakiś powód do skarg; poprawiało ich trudną i fałszywą pozycyę. To jest nierównie gorsze. W chwili, kiedy prasa rosyjska występowała szczerze czy nieszczerze, ale uczciwie w sprawie wrzesińskiej, obrażać narodowe uczucia rosyjskie było niedorzecznością krzyczącą. Dla rządu pruskiego zaś broń pożądana i nader poręczna do użycia w Petersburgu. „Widzicie, że to nietylko o nas chodzi i o nasze procesy i wyroki; na wasz konsulat i na waszego orła była napaść taka sama, jak na naszego, i to gdzie?—tam, gdzie cały rząd krajowy jest w ręku Polaków. Zastanówcież się nad tem i wyciągnijcie z tego logiczny wniosek, że z Polakami tylko tak postępować jest roztropnie, jak postępowali Milutyn, Czerkawski i Murawiew“.

Broń ta będzie użyta i w Wiedniu. „Austrya winna. Ona, dając Polakom swobodę narodową, wychowuje w swojej części polskie dążności i działania, niebezpieczne dla dwóch państw ościennych. Zatem Austrya musi z Polakami postępować inaczej, albo przypisać sobie następstwa“. Artykuły różnych dzienników niemieckich, wołające o dymisyę namiestnika, są wskazówką ducha, w jakim pisane są i będą noty pruskiego ministerstwa spraw zagranicznych do poselstwa w Wiedniu.

Jest to tak dalece woda na młyn pruski, że naturalnie przypuszcza się pruską intrygę, rękę pruskiego agenta i prowokatora. Czterdzieści lat temu Bärensprung i Post wymyślili całą konspiracyę polską i sfałszowali dokumenta, które ją miały stwierdzać: tak samo teraz pruski agent mógł urządzić ową demonstracyę we Lwowie. Przypuszczenie jest naturalne, nie jest dowiedzione i pewne; można przypuszczać, nie można twierdzić. Nie można zaś, niestety, zaprzeczyć, że są i polskie wpływy, które mogły sprawić to, co ze stanowiska polskiego jest arcydziełem głupstwa, a ciężką winą względem narodu. Znamy tę politykę,

---

159)

HURAGAN

Powieść historyczna

przez

Wacława Gąsiorowskiego.

(Ciąg dalszy).

— Przesadzasz, prosty obowiązek! Toć policzono, ile my tu w kompanii mamy dzieciuchów prawie, młodzieniaszków! Nam, starym żołnierzom, to nic, ale co takim! Wyrwali się na świat — odrobina troskliwości im się należy! Ile przytem biedy a nędzy!... Mundurki ledwie się trzymają, rzemienie pękają, niszczeje wszystko! A mało jest naprawdę takich, którymby dukaty słano z kraju, a bywa, że i z żołdu strącają im jeszcze wydatek za pierwszy rynsztunek!

— Tak ci jest, lecz co w naszej kompanii, nikt bodaj, krom was, kapitanie, niema powodu do utyskiwań!... Wam raczej należałoby raport złożyć pułkownikowi.... boć przecież zgroza, abyście się grosza ostatniego mieli wyzbywać!

— Zdaje ci się, zdaje! Mnie wiele nie potrzeba.... Służby nie trzymam. Luzaków nie prowadzę! Starczy mi, dzięki Bogu! No, bywajcie mi, panie Floryanie! Raport muszę wygotować w zastępstwie szefa, a wy choć oko zmrużcie. Lada chwila zmiana przyjdzie!

Dziewanowski skręcił do namiotu swego, Floryan legł przy ognisku około Stadnickiego.

Światło poranku leniwie jęło mgły przezierać. Białe zasłony ważyły się ponad ziemią, zlewały się z podniebieskiemi obłokami, szarzyzną przejmowały nawet amarantowe kołnierze płaszczy szwoleżerów. Z dogasających ognisk wyrywały się smugi dymu, a nie mogąc przemódz tłoczących je oparów, rozlewały się w przyziemne koliska i pełzały śród leżących pokotem żołnierzy.

Porucznik Niegolewski trzymał dyżur na pikietach. Obszedł już po kilkakroć stanowiska, dotarł do łańcucha piechoty francuskiej, spokój głęboki panował dokoła. Niekiedy rozległ się monotonny głos placówki, obwołującej nadchodzący ront, czasem patrol żandarmeryi polowej zadzwonił kopytami na skalistej drodze — i cisza.

Niegolewski przysiadł na kamieniu i otulił się płaszczem. Po nieprzespanej prawie nocy, ranek przejmował go do szpiku. Wilgoć o febryczne przyprawiała drżenie. Niegolewski nasunął mocniej czapkę, podniósł kołnierz i omotał się mocniej. Senność go ogarniała. Zdało mu się, że widzi przed sobą rodzica, jak się doń uśmiecha łagodnie i mówi:

— No, mości panie Andrzeju, dzień to twego patrona!.. Weźże sobie na wiązanie srokatą kobyłkę i tę uzdeczkę pradziadowską, o którąś się tak przymawiał!..

Widzenie było tak żywe, iż Niegolewski aż się pochylił do nóg ojcowskich.

Ruch ten go obudził. Porucznik zerwał się na równe nogi.

— Piękniebym się popisał! — mruknął do siebie.

A chcąc senność odpędzić, zawrócił wielkiemi krokami na linię od drogi.

Naraz w oddali dał się słyszeć przyśpieszony tętent kopyt końskich. Niegolewski postąpił naprzód ku pikiecie. Chciał rzucić już stereotypowe zapytanie szwoleżerowi, gdy o kilkanaście kroków przed sobą dojrzał cesarza.

Bonaparte kłusował zasępiony, mając ze sobą ledwie dwóch oficerów ordynansowych. Mgły kłębiły się dookoła niego, on pruł je śmiało.

Niegolewski pogonił wzrokiem za cesarzem, lecz te same mgły, które go oczom porucznika ukazały — już się zasunęły, zwarły.

Niegolewski pobiegł do namiotów. Okrzyk: „Cesarz na linii!“ — postawił wszystkich oficerów na nogi. Jeden tylko porucznik Krzyżanowski spał tak twardo, że Niegolewski aż wodą musiał mu na twarz chlusnąć.

— Wstawaj, śpiochu! Cesarz na linii!

Krzyżanowski z żalem zwlókł się z rozesłanych der.

— Kozietulski dawno na nogach! Lada chwila cesarz może wracać! — strofował dalej Niegolewski.

— Cesarz? — odrzekł Krzyżanowski. — Gdybyś ty wiedział, jak ja spałem!..

— Dalej! Nie marudź!

Trąbki zagrały długo, przeciągle. Dźwięki ich wspinały się po mglistych zawałach, szły ku obłokom i darły się aż pod chmury.

Szwoleżerowie zerwali się na równe nogi — konie powitały ich raźnem parskaniem.

Żołnierz żegnał się, zbierał swoją chudobę i biegł konia opatrywać.

Ruch zawrzał gorączkowy. Pod kociołkami zatrzeszczały drzazgi. Szczotki jęły się butów a mundurów. Klamry, guzy a blachy spotkały się ze szmatą. Zgrzebła wycierały konie.

Oficerowie doglądali porządku. Wachmistrz Wasilewski rozłożył swoją słynną na cały szwadron torbę i wydobywszy z niej wosk, nici a igłę, przyszywał gorączkowo guzy u płaszcza, prawiąc naukę siedzącemu obok niego Szumowi:

— Widzisz, urwisie!.. Obrywać to potrafisz! Hę! Co? Gadaj mi zaraz!..

— Urwały się, wachmistrzu! — rzekł z pokorą Szum.

— Urwały się! Same się urwały? Sto lat przesłużysz.. i nawet brygadyerem nie zostaniesz!... Gdzie takiemu!... Tak, patrz się znów na buty!... Dalipan zaraportuję! A kaszel cię dusi? Nicpoń!...

Szum ozwał się smutnie:

— Taki już jestem — niezdarzony!...

— Hm! Niezdarzony! Choroba, dalipan, jak to odpowiada! Ja mu tu jeszcze będę guzy przyszywał! Dalej! Precz z tem.... Niech cię kapitan przyłapie!...

Wachmistrz odrzucił ze złością płaszcz. Szum podniósł go z ziemi. Guzy były już przyszyte.

Na bladej twarzy młodego szwoleżera trysnął rumieniec.

— Bóg wam zapłać, wachmistrzu! — szepnął potulnie Szum.

Wachmistrz zatrząsł się z gniewu.

— Co mi ty, koszałki opałki! Cóż sobie myślisz? Pana Boga do guzików twoich będziesz mi wzywał?! A to kara istna!... Jemu do wojska! Do kawaleryi, do gwardyi!...

Szwoleżerowie śpiesznie kończyli ranne zajęcia. Nie upłynęła godzina a szwadron stał wyciągnięty w dwie równe linie. Kozietulski obchodził szeregi i lustrował oddział.

Mgły zaczęły się powoli przerzedzać. Od głównej kwatery nadjechał furyer dworu cesarskiego, major de Segur i przywiózł rozkaz, aby szwoleżerowie byli w pogotowiu....

— Ba, majorze! — ozwał się wesoło Kozietulski. — Toć widzisz.... czekamy!...

— Cierpliwości! Cesarz wyjechał na obejrzenie pozycyi!... Niech mnie licho porwie, jeżeli co nowego! Góry, skały, a między niemi korytarz na dwóch ludzi.... Szyja wąska, podobno kręta.... trzema armatami mogą nam cały korpus wystrzelać! Uwaga, pułkowniku! Czy mnie wzrok myli!... Cesarz nadciąga!

— Baa....czność! — zakomenderował Kozietulski.

Bonaparte ukazał się w dali. Jechał teraz stępa — na twarzy jego rysowała się głęboka zaduma.

Szwoleżerowie oddech zaparli w piersiach, gotując się do powitalnego okrzyku, lecz Napoleon o kilkadziesiąt kroków przed nimi zatrzymał konia, zeskoczył lekko na ziemię i, rzuciwszy trenzle ordynansowi, usiadł pod drzewem w pobliżu drogi. Drugi oficer służbowy cesarza poskoczył do szwoleżerów.

— Pułkowniku, każ ogień rozniecić żołnierzom przed najjaśniejszym panem! Macie tu dery?...

Pan de Segur pośpieszył ze swej strony z pomocą w urządzeniu zaimprowizowanego spoczynku cesarskiego.

Żołnierze rozbiegli się do marszałków i sztabu z wiadomością, że cesarz spoczywa pod linią pikiet. Wielkie ognisko buchnęło z trzaskiem u stóp Napoleona.

(Ciąg dalszy nastąpi)

której hasłem jest: „Im gorzej, tem lepiej" — działaniem tak zwane „organizowanie", środkiem przypisywanie sobie najlepszej i jedynie prawdziwej miłości ojczyzny i wyzyskiwanie tej miłości, rzetelnej u tych nierozważnych, którzy się prowadzić dają. Polityka to radykalna, z socyalistycznym podkładem, z patryotycznym pokostem, bez którego nie wielu potrafiłaby zwodzić. Czy nie ta polityka popchnęła gimnazyalistów do demonstracyi, tłómacząc im, że robią rzecz patryotyczną i piękną? Bylibyśmy szczęśliwi, gdybyśmy na to pytanie mogli odpowiedzieć: „Nie" i twierdzić na pewno, że sama tylko pruska robota sprowadziła Polsce tę szkodę; ale tego przekonania nie mamy. Taka polityka jest, *Przegląd Wszechpolski* wyznaje ją otwarcie w każdym swoim zeszycie. Próbuje ta polityka się szerzyć po za granicami Galicyi, we Lwowie odgraża się pomnikowi Gołuchowskiego, w Okocimiu z rewolwerem w ręku żąda podatków „na cele narodowe" od p. Götza. Młodym studentom lub rzemieślnikom deklamuje o Polsce, ale za cel i ideał im chroniczny stan wzburzenia radykalnych namiętności i ferment nienawiści. Propaganda (czy organizacya) niby patryotyczna jest środkiem, używanym raz z większą, drugi raz z mniejszą dobrą wiarą. Mogła i ta polityka urządzić tę „patryotyczną demonstracyę".

Że potrafiła złudzić i oszukać chłopców z gimnazyum, temu nie można się bardzo dziwić, choć doprawdy i oni nawet mogliby zrozumieć, jak mało takimi hałasami szkodzą Prusom, czy Rosyi, jak wiele szkodzą Polsce. Ciekawe, a zdaje się, że pewne i dowiedzione jest uszkodzenie orła rosyjskiego nie podczas demonstracyi, przez demonstrantów, tylko po niej przez jakichś innych. — Przez kogo? agentów pruskich, czy też przez Polaków?

Polityka, o której mówimy, wie dobrze i mówi głośno, że prowadzi do ofiar i klęsk; wie, że te ofiary i klęski nie zwyciężą ani Prus, ani Rosyi. Ale mówi zarazem, że jej są potrzebne. Potrzebne nie dla Polski oczywiście, tylko dla jej radykalnych celów.

Wszystkie dzienniki krajowe, z wyjątkiem *Kuryera Lwowskiego* i socyalistycznego *Naprzodu*, oświadczyły się przeciw tym demonstracyom i ich sprawcom; zatem można mówić bez przesady, że oświadczyła się przeciw nim cała opinia społeczeństwa polskiego, bez różnicy stronnictw. Niemniej zapytać przychodzi, jaki jest stan społeczeństwa, jeżeli bez jego woli i wbrew jego przekonaniu ono może być wepchnięte w położenie złe i szkodliwe, dlatego, że kilku niewiadomych agentów, obcych, czy swoich, uwiodło i pociągnęło paręset niedorostków albo i dorosłych, ale nie myślących młodzieńców. Taki stan jest zły. A tu nie możemy niestety zaprzeczyć, że winno mu w znacznej części społeczeństwo samo. Przez lat przeszło trzydzieści kto u nas mówił albo pisał, że demonstracye są rzeczą marną, organizacye i konspiracye rzeczą dla Polski szkodliwą, a uległość ludziom nieznanym i niewiadowym i nie rozumną, że ze stanowiska rozumu głupią, a ze stanowiska polskiego zgubną, — kto to mówił albo pisał, ten był ogłaszany za „gasiciela ducha", za zdrajcę ojczyzny. Ci, którzy przez całe życie pobłażali i folgowali polityce demonstracyj i *liberum conspiro*, dziś z żalem widzą starcia na ulicach Lwowa, a przewidują ich skutki. Ale dziwić się nie mają prawa — „żałować po niewczasie" jest to samo, co „patrzeć na kompasie, kiedy słońce zgaśnie". Po czasie jeszcze nie jest, na szczęście; złe pokazało swoje oznaki, ale nie zapuściło korzenie. Okazało się lokalnem, ograniczonem na małą liczbę ludzi młodych i niedowarzonych, którzy oburzają społeczeństwo i w samym Lwowie i w kraju. Ale pokazało się jednak wyraźnie. Oby te jego oznaki sprowadziły wszędzie, jak w prasie, ten stopień zastanowienia, który jest potrzebny do wstrzymania dalszych postępów złego, na dziś i na przyszłość.

Ale kiedy mówimy o grzechach zaniedbania ze strony społeczeństwa, to musimy dodać, że nie ono jedno ma takie grzechy na sumieniu. Ma je także rząd. Nie miejscowy w Galicyi, ale centralny w Wiedniu. Ten, przez wzgląd na możliwe głosowania i uchwały w Radzie państwa, przez całe lata przymykał oczy na rzeczy niezgodne ani z prawem, ani z porządkiem publicznym. Władze miejscowe, krajowe, kiedy zwracały uwagę na zakazane prawem śpiewy, na podburzające nienawiść przemówienia i tym podobne rzeczy, były krępowane w swej działalności i wskutek tego patrzały przez szpary. Naturalnie musiało się w ludności przyjąć i rozszerzyć wrażenie, że każdy może robić, co chce. Jeżeli socyalistom wolno śpiewać „Czerwony sztandar", grozić posiadającym, demonstrować przeciw władzom świeckim czy duchownym, jeżeli w Czechach, w Gracu, ba w samym Wiednu wolno Niemcom pisać i na zgromadzeniach mówić rzeczy, które już zupełnie trącą „zdradą stanu", bo natrącają o oderwaniu od Austryi, to dlaczego drugim nie ma być wolno demonstrować przeciw konsulatom? W teoryi to rozumowanie jest nawet słuszne, logiczne. Ale w praktyce wypadło jak najgorzej. My nie jeden raz wyrzucaliśmy rządowi tego dziwną neutralność, pytaliśmy, czy zachowałby się tak samo wobec takich polskich, manifestocyi w podobnych sprawach. Niechże wie, że, jeżeli tych nie chciał, jeżeli nie są na rękę, to je sam ośmielił, a w pewnej mierze przygotował tą pobłażliwością, z jaką pozwalał się rozszerzać w kraju, że ręka radykalno-socyalistyczna je inscenizowała.

Już po owym pochodzie na konsulat rosyjski, powtórzył się pochód we Lwowie; wyrzucano się kamienie na wojsko. Ta recydywa jest znacząca. Dowodzi, że to nie jednorazowy nierozważny popęd, ale robota, że metoda w tem szaleństwie. Czy polityka „im gorzej, tem lepiej" uznała za potrzebne popsuć dzisiejszy stan rzeczy w Galicyi, wywołać aresztowania i więzienia, może niemieckie lub wojskowe rządy, żeby tą drogą wprowadzić kraj w swoje zamiary opozycyjne i organizacyjne? Znając ją, można ją o takie zamiary posądzać. Ale trzeba jej powiedzieć z góry, że plan może się jej udać tylko w części. Udać się może burda, mogą być aresztowania pewnej liczby ludzi. To się stać może, ale aresztowania lub zasądzenia w oczach społeczeństwa polskiego wydadzą się prześladowaniem. To się nie uda, ażeby aresztowani lub skazani zostali nazwani bohaterami w oczach społeczeństwa, ale nie bohaterami, tylko winnymi są ci, którzy bez żadnej potrzeby, ani przyczyny, bez żadnej dla Polski korzyści, tylko z jej krzywdą, bez zasługi, tylko z winą, przedsiębiorą kroki, które do starć i więzień prowadzą, choćby te kroki potem własną szkodą przypłacili.

Jest w tem jeszcze jeden szczegół, bardzo brzydki i wstrętny, to pobicie p. Ostaszewskiego-Barańskiego, redaktora *Dziennika Polskiego*. Pięciu ludzi napadło go w kawiarni i pobiło za to, że napisał artykuł przeciw demonstracyi przed konsulatem rosyjskim. Innego dnia inni rzucili się tak samo na p. Jaworowskiego, profesora gimnazyalnego. Zewsząd słychać głosy oburzenia na nikczemność, na zdziczenie. Oburzenie słuszne; ale znowu musimy powiedzieć, że nikczemność i zdziczenie są także skutkiem długoletniej edukacyi. Napaści z kijami są naturalnym skutkiem napaści słowem i piórem. Żadna zasługa, żadna dobra sława nie była bezpieczną od dziennikarskich napaści; kłamstwo i potwarz nie znały żadnej miary w bezczelności. Sam ten *Dziennik Polski*, którego redaktor był dziś ofiarą napaści, za dawnych lat i dawnych redakcyj, jak się obchodził z najszanowniejszymi, najlepiej zasłużonymi ludźmi! Nauka nie poszła w las i ziarno znikczemnienia i zdziczenia wydało bogaty plon w dziennikach i pismach coraz liczniejszych i coraz wścieklejszych w napaści. Cóż dziwnego, że po latach takiego obyczaju w dziennikach i znowu takiego występnego pobłażania im w społeczeństwie, napaść stała się praktyczną, a słowo stało się kijem. Zdziczenie w umysłach musiało pójść za zdziczeniem w obyczaju. Dotąd każde dobre imię, każda cześć, każda zasługa była narażona na bezkarną napaść pisaną; z postępem czasu narażony jest na kije każdy, kto sobie pozwoli napisać coś, co się nie spodoba pierwszemu lepszemu zdziczałemu awanturnikowi.

W każdym razie jesteśmy teraz w tem położeniu, że dwie siły, sobie niby wprost przeciwne, dążą do tego samego celu. Prusy do „trójprzymierza" państw rozbiorowych zwróconego przeciw Polakom — radykalno-socyalistyczni Polacy prowadzą do tego samego, tylko ci dla zbawienia Polski (jak mówią), tamci dla jej zguby. Ale w swoich wyrachowaniach Prusacy są mędrsi od tych Polaków i Polacy a nie Prusacy zawiedliby się w swoich nadziejach, gdyby się te plany udały.

Co i o czem piszą.

Kuryer Warszawski wraca do ciągle będącej na dobie i ciągle piekącej u nas sprawy paszkwilów — paszkwilów drukowanych w pismach publicznych i wygłaszanych przez rozmaitych ludzi pod sekretem innym ludziom. *Kuryer Warszawski* pisze:

U nas, niestety, tak łatwo wziąć po łbie, lub dostać szturchańca całkiem niezasłużenie, wtedy właśnie, kiedy się z najlepszą chęcią staje do jakiejś roboty i wysila ku pożytkowi cudzego dobra, nie we własnym osobistym interesie.

Stało się to niezaszczytną metodą traktowania ludzi i czynów, a choćby tylko zamiarów ludzkich, z krańcowem uprzedzeniem lub podejrzliwością.

Wszędzie i we wszystkiem podgląda się interes lub prywatę.

Stało się to niejako specyalnością zohydzać każdy czyn, każdą intencyę, każdy krok swego bliźniego, towarzysza zawodu, kolegi, a co najgorsza, zbyt często bez wewnętrznego przekonania, jeszcze częściej bez wszelkiego dowodu, nawet bez rzeczywistego pozoru.

Przebija z tego jakaś złośliwa chęć znęcania się lub szkodzenia drugim dla samej przyjemności i jeżeli to jeszcze wypływa z taktyki systematycznej, można się tem gorszyć, można potępiać, ale można i rozumieć; tymczasem po większej części bywa to niemal bezwiedne, instynktowe, nieświadome nieraz, odruchowe — powiedziałbym — szczególniej w języku.

Wątpię, czy wśród oświeconych i dojrzałych społeczeństw liczą się gdziekolwiek tak mało z żywem lub pisanem słowem, jak u nas.

Zdawałoby się poprostu, że mózgi niektórych ludzi do tego stopnia przywykły w jednostronnym kierunku rozumować, wnioskować i myśleć, iż nabrały jakiejś logiki maniaków, dotkniętych istotnem zboczeniem.

We wszystkiem muszą odkryć i wynaleść złą stronę, wszystko zobaczyć w świetle ujemnem, wszystko wytłómaczyć obie na czyjąś niekorzyść.

I stąd tak łatwo się u nas potępia, tak chętnie spotwarza, tak gorliwie plotkuje i tak fałszywie ocenia.

Nieraz zastanawialiśmy się nad tem, czy w tym objawie niemoralnym nie jest coś psychopatycznego, jakiś osobliwy rodzaj choroby umysłowej, nagminnej i nawet zaraźliwej, która nie tyle z charakteru, ile ze stanu anormalnego mózgów wypływa.

Bo i jak sobie wytłómaczyć to uporczywe, zawsze w jednym kierunku wytężone rozumowanie tak wielu napozór zupełnie zdrowych, logicznych i przyzwoitych ludzi, którzy nie dopuszczają stale dodatnich czynników, pobudek i przyczyn w postępowaniu drugich osób, albo w ich zachowaniu się, tylko zawsze ujemne i potępienia godne?...

Syllogistyka ich bywa taka:

— Zrobił to i to, więc zrobił źle, a jeżeli zrobił dobrze, to tem gorzej, bo miał w tem jakiś zły powód.

Zbyt często daje się to zauważyć w tak zwanej opinii publicznej i w sądach jednostek, zarówno w prywatnych, jak publicznych wypadkach.

Nie przypuszcza się dobrych intencyj, albo uczciwego zamiaru, nie wierzy w dodatnie czynniki, albo w najnaturalniejsze i najprostsze powody, nie szuka w oczywistych faktach prostej i zrozumiałej konsekwencyi, ale najczęściej i najchętniej podstawia się wszędzie minus, zamiast plus i operuje urojonemi ilościami, aby tylko fałszywe osiągnąć wyniki, bo one sprawiają większe zadowolenie.

Schadenfreude!... Oto miły dreszczyk i niewyczerpana rozkosz, których pożądają i wielcy i mali, mężczyźni i kobiety, którą się raczą wzajemnie i bawią codziennie, używając ich, jak papierosów, z przyzwyczajenia i nałogu.

Założylibyśmy się niemal, że na dziesięć osób, którym opowiedzielibyśmy fakt taki, nieznaczący:

— Wiecie, spotkano wczoraj nad wieczorem pana X. z panią Y. w Alejach — dziewięć instyntkownie pomyślałoby:

— Wracali z *rendez-vous*.

Spróbujcie powiedzieć komu, że bogaty przemysłowiec Q. sprzedał swój powóz, — zobaczycie, że jutro dowiecie się od dziesięciu osób, iż przemysłowiec Q. bankrutuje, bo przecież dla innych powodów nie sprzedawałby powozu, np. dlatego, żeby sobie inny kupić.

Przeczytajcie w kółku znajomych z kroniki wypadków bieżących, że: „W dniu wczorajszym bolesny cios dotknął rodzinę pp. XX., jedyna ich córka zmarła nagle na anewryzm serca", a po chwili zaczną się sypać domysły:

— Czy to tylko była śmierć naturalna?... w tak młodym wieku umarła tak nagle... No, no, no!... pewnie się otruła.

Przed pogrzebem jeszcze zrobią z niej bohaterkę nieszczęśliwego romansu, która była zmuszoną popełnić samobójstwo, bo i t. d.

Rodzina każe zrobić sekcyę na zwłokach, lekarze stwierdzą pęknięcie serca, ale niepoprawni maniacy będą kiwali głowami i brnęli jeszcze dalej w fałszywych wnioskach:

— Takżeście chcieli, aby powiedziano prawdę!... przecież ją krajał dr. Q. Q., przyjaciel domu.

Literat Gryzipiórski wymienił w artykule o przemyśle fabrykanta Ołówkowicza.

— Wziął pewnie łapówkę! — z żółciowym uśmiechem powie nazajutrz kolega, a może i przyjaciel autora.

— Słyszeliście?... Gucio zaręczył się z panną Florą!

— Cóż dziwnego!.. weźmie posag i kamienicę po rodzicach.

I tak do nieskończoności, i tak zawsze, będą wam znajomi i nieznajomi, przyjaciele i nieprzyjaciele, zainteresowani i obojętni szukali dziury na całem, plamy na słońcu, włosa w rosole, aby tylko było co potępiać, co podejrzywać, krytykować i zohydzać.

Nie jest-że to mania, nie jest to chorobliwe?.. bo pewnie trzebaby uciec na pustynię od takich stosunków i z takiego otoczenia, gdyby one były do tego stopnia zepsute, przewrotne, złe i zdemoralizowane.

Gdybyż jeszcze w tych stosunkach jednostek ze sobą i z ogółem była pewna konkurencya; gdyby do miary i sądu opinii o tym, lub o owej, podejrzanych czy potępionych, stosowano pewne prawa, pewne warunki, pewne sposoby postępowania.

Ale nie!

Mówi się o kimś głośno po za jego plecami:

— To szubrawiec skończony!... to przecież plotkarz znany!.. to prosty oszust! — nie przepłukuje się nawet ust po tem błocie, czy po tej ślinie, którą się plwało przed chwilą i idzie się ściskać lub całować z tym samym szubrawcem, plotkarzem i oszustem, trochę przez brak cywilnej odwagi, trochę przez brak przekonania o nim, trochę przez rozmaite względy prywatnej lub publicznej natury, a trochę przez towarzyską obłudę i t. d.

Boże drogi, komu nie świerzbiała ręka przy dotknięciu dłoni takiego miłego pana lub pani, o których się wiedziało lub odczuwało, że gotowi suchej nitki na nas nie zostawić!.. ale ten głupi konwenans, to coś, co powstrzymuje często najśmielszego człowieka od odwrócenia głowy, cofnięcia ręki i nie oddania ukłonu zdeklarowanemu wrogowi, potwarcy lub plotkarce, utrzymuje szary, mięszany, nieszczery charakter towarzyskich stosunków z ludźmi, którzy nawet ukłonu i spojrzenia często nie są warci.

— Wszystko to prawda, ale co na to poradzić? — spytał mnie pewien poważny i wytrawny jegomość, z którym w tym przedmiocie dłuższy czas rozmawiałem.

— Zdaje mi się, że radaby się znalazła, — odrzekłem, — gdybyśmy trochę więcej dbali o swoją osobistą godność i mieli odwagę przebrakować się w każdej sferze i w każdym stanie.

— Chciałbyś pan, aby w każdej instytucyi, w każdym salonie, każdem towarzystwie, każdem zgromadzeniu czy zebraniu, przeprowadzono ściślejsze balotowanie i nie dopuszczano do stosunków, do obcowania i równych praw pewnych osobistości, które powinny zostać za drzwiami? — rzekł z uśmiechem sceptycznym, — dobrzeby to było, ale spróbuj to przeprowadzić!..

— A jednak kto wie, czy to tak trudna rzecz? — wtrąciłem.

— Przy dobrej woli i solidarności, nie bardzo; ale na początek musiałby ktoś założyć „Klub bocianów", a na to żaby nigdy nie pozwolą i dlatego przygotuj się pan, że będziesz musiał długo jeszcze spotykać w salonach damy, o których ich rówieśniczki mówią ze świątobliwem oburzeniem, w towarzystwach mężczyzn, mających bardzo dwuznaczną opinię, w instytucyach działaczy, podejrzewanych o rozmaite paskudztwa, a w redakcyach naganiaczy opinii, których bez kagańca nie należałoby puszczać na ulicę.

— Więc musi zawsze być tak, jak jest?

— Zawsze nie, ale póty, dopóki się to samo w sobie nie przetrawi, nie przegnije i nie przekwasi. W naszym klimacie, drogi panie, błoto jest wieczne, tylko czasem wysycha więcej, a czasem mniej. Trzeba chodzić w kaloszach i omijać kałuże, jeśli się nie chce za bardzo zaszargać.

Szczęśliwi, którzy nie potrzebują za często... z domu wychodzić!

Przemysł cukrowy zagrożony.

Z Brukseli, gdzie od kilku tygodni obraduje międzynarodowa konferencya, zwołana celem obmyślenia środków, za pomocą których możnaby bez wielkich wstrząśnień ekonomicznych znieść praktykowany w wielkich państwach europejskich, a zwłaszcza w Austro-Węgrzech i Niemczech system popierania przemysłu cukrowego przez przyznawanie premii eksportowych, który prowadzi do nadzwyczajnej hiperprodukcyi i niezdrowej konkurencyi, — nadeszła przed kilku dniami wiadomość, która wywołała wielkie przerażenie wśród producentów cukru w naszej monarchii i w sąsiedniem cesarstwie niemieckiem. Oto bowiem rząd angielski wystąpił na konferencyi brukselskiej z groźbą, której spełnienie mogłoby zadać cios zabójczy przemysłowi cukrowemu i u nas i w Niemczech. Niech bowiem dziś Anglia swemi zarządzeniami fiskalnemi uniemożliwi eksport cukru naszego do swych posiadłości, a w takim razie wypadnie chyba zamknąć więcej, niż połowę fabryk cukru w Austro-Węgrzech, albo zmniejszyć ich produkcyę więcej, niż o połowę, a to byłoby klęską nie tylko dla właścicieli tych fabryk ale i dla rolników, dostarczających buraków i mających z tego powodu wyższą rentę z ziemi, aniżeli przez uprawę zboża. Pamiętajmy bowiem o tem, że fabryki w Austro-Węgrzech produkują tyle cukru, iż ludność monarchii zaledwie trzecią część tej produkcyi zdoła spożyć, a 70% całej produkcyi idzie na eksport, przeważnie do Anglii i jej kolonii. Podobne stosunki panują także w Niemczech. W roku ubiegłym np. wywieziono z Austro-Węgier do Anglii $2^1/_2$ miliona centnarów metrycznych, czyli 250 milionów kilogramów cukru rafinowanego, 400.000 centnarów cukru surowego, a do Indyi angielskich 1,200.000 centnarów.

Cukier ten sprzedają austryacko-węgierscy fabrykanci do Anglii, Ameryki, Indyi i Japonii wprost za bezcen, bo tak tanio, że naprzykład w Anglii opłaci się bydło karmić cukrem. W ubiegłym tygodniu np. cena cukru z buraków wynosiła w Londynie niespełna 7 szylingów czyli 4 zł. 20 ct. za 100 kilogramów, a zatem jeden kilogram kosztował zaledwie $4^3/_{10}$ centa. Czy ta cena pokrywa własne koszta produkcyi, to jest zapewne tajemnicą kupiecką fabrykantów, bądź co bądź oni uprawiają ten eksport z wielkim zapałem i radziby go jeszcze bardziej powiększyć, a w rezultacie fabryki ich przynoszą im ogromne dochody, gdyż gdyby nawet coś stracili na tym eksporcie, to te straty mogą sobie sowicie powetować częścią premiami, jakie płaci im państwo, a które wynoszą w Austro-Węgrzech dwadzieścia kilka milionów koron corocznie, głównie zaś zyskiem osiągniętym ze sprzedaży cukru w obrębie monarchii. W handlu bowiem kosztuje u nas cukier 90 do 92 halerzy za kilogram, z czego mniej więcej czwarta część odpada na podatek konsumcyjny, — pozostała reszta wystarcza więc w każdym razie i na pokrycie możliwych strat z eksportu i na zapewnienie akcyonaryuszom fabryk cukru dobrej dywidendy. Zresztą o to, aby krajowa cena cukru zawsze pokrywała wszelkie straty z eksportu i dawała zysk z fabrykacyi, spokojni są fabrykanci, gdyż związani w kartel mogą dyktować w obrębie monarchii ceny, jakie uznają za właściwe, a nie potrzebują się obawiać żadnej konkurencyi, gdyż chroni ich przeciw niej wysokie cło od cukru zagranicznego, wynoszące 11 guldenów w złocie od centnara metrycznego, czyli przeszło 26 halerzy od kilograma.

Owóż rząd angielski uważa, że nie tyle owe premie cukrowe ułatwiają eksport cukru kontynentalnego do Anglii i jej kolonii, eksport, utrudniający rozwinięcie się własnego przemysłu w Anglii i jej koloniach, ile owo wysokie cło, jakiem państwa europejskie zabezpieczyły się przed robieniem sobie wzajemnie konkurencyi na własnych rynkach, a przedewszystkiem kartele, mające poniekąd monopol dyktowania cen cukru u siebie w kraju i powetowania sobie na krajowej konsumcyi strat, jakie ponoszą na eksporcie. Dlatego też, chcąc zachwiać podstawami kartelów cukrowych w Austryi i w Niemczech, postawił rząd angielski żądanie, ażeby państwa, przyznające premie za eksport cukru, obniżyły bardzo znacznie swoje cła cukrowe. Specyalnie co do Austryi zażądała Anglia zniżenia cła z 11 na 6 guldenów w złocie, czyli prawie o połowę i zagroziła, że jeżeli to żądanie jej nie będzie spełnione, wówczas zaprowadzone zostanie w całej Anglii i w jej koloniach cło na cukier austryacki, wynoszące przynajmniej tę różnicę, tj. 5 guldenów w złocie, czyli około 12 koron za centnar metryczny. Taki sam warunek postawiła Anglia także Niemcom, a natomiast wobec francuskiego przemysłu cukrowego okazuje pewną skłonność do ustępstw. Zamiarem rządu angielskiego jest przez to uniemożliwienie, a w każdym razie niesłychane utrudnienie eksportu cukru z Austryi i Niemiec stworzyć podstawy do rozwoju przemysłu cukrowego w Anglii i w jej koloniach.

Jak donoszą telegraficznie z Berlina, zebrali się tam wczoraj reprezentanci przemysłu cukrowego zarówno z Austro-Węgier jak i z Niemiec i naradzali się nad tem, co począć wobec tej groźby angielskiej. Rozważano przedewszystkiem nad tem, jakie bezpośrednie skutki miałoby wykonanie tej groźby rządu londyńskiego lub zniesienie premii wywozowych, do czego zmierza konferencya brukselska, albo też zniżenie cła od cukru, tj. spełnienie żądania Anglii. W rezultacie uchwalono jednomyślnie starać się wszystkiemi siłami o to, ażeby wszystko pozostało tak jak jest, ażeby nie zaprowadzano żadnych zmian w istniejących premiach wywozowych, ani też nie zniżano cła od cukru. Konferencya wczorajsza berlińska stwierdziła zupełną solidarność interesów przemysłu cukrowego w Austryi i w Niemczech i postanowiła przedłożyć rządom obu państw memoryał z prośbą, ażeby nie przedsięwzięły one nic takiego, coby mogło zagrażać bytowi przemysłu cukrowego, z którym także interesa rolnictwa są tak ściśle złączone.

Widocznie fabrykanci cukru w Austryi i w Niemczech kombinują, że wykonanie groźby angielskiej nie mogłoby tak rychło doprowadzić do celu, zamierzonego przez rząd londyński, tj. do stworzenia własnego przemysłu cukrowego w Anglii i w jej koloniach. Na to potrzeba w każdym razie szeregu lat, a tymczasem fabrykanci jeszcze przez ten szereg lat ciągnęliby wszystkie możliwe korzyści z obecnej konstelacyi, tak, by im w możliwie najkrótszym czasie wróciły się wszystkie wkłady, porobione w fabryki. To mogą osiągnąć; natomiast o wiele trudniejszą jest pozycya rolników, uprawiających buraki cukrowe; ich interesa są rzeczywiście bardzo poważnie zagrożone. — Wreszcie poważnie zagrożona jest także egzystencya tylu tysięcy robotników, zatrudnionych w fabrykach cukru.

KRONIKA.

Lwów 11 lutego.

Wiadomości urzędowe. Minister oświaty zamianował Łucyana Grabowskiego adjunktem w obserwatoryum astronomicznem wszechnicy Jagiellońskiej, a architekta p. Zygmunta Hendla konserwatorem zabytków archeologicznych.

Z życia towarzyskiego. U państwa Ludwikostwa Rydygierów odbył się wczoraj raut, na który przybyli ks. arcybiskup Bilczewski, p. namiestnik, profesorowie uniwersytetu i wiele osób z towarzystwa lwowskiego. Podczas kolacyi chór akademików wykonał kilka pięknych pieśni.

Suspensya. Z Jeziernej donoszą, że zasuspendowano tam naczelnika stacyi kolejowej p. Stenzla pod zarzuten nadużyć służbowych.

P. Stanisław Przybyszewski, o którym rozpuszczono w Warszawie pogłoskę, że zachorował umysłowo i leczy się w zakładzie dla obłąkanych w Tworkach — ogłasza, że jest zupełnie zdrów i nigdy nie czuł się lepiej, jak obecnie.

Konkursa rozpisują: Magistrat m. Drohobycza na posadę sekretarza z poborami 3.400 K. i trzema pięcioleciami po 400 K.; termin do 1-go kwietnia. — Magistrat m. Przeworska na posadę inspektora policyi; pobory 800 K., termin do 15 marca. — Wydział pow. w Kamionce strumiłowej na posadę kasyera za kaucyą 1.200 K., płaca 1200 K., termin do 5 marca. — Nadprokuratorya państwa na posady funkcyonaryuszy prokuratoryi państwa: w Rawie ruskiej, Kulikowie, Śniatynie, Żabiu, Husiatynie, Birczy, Nadwórnie i Buczaczu; termin do 28 bm.

Z Colosseum. Dziś wystąpi w Colosseum po raz pierwszy p. Stanisław Cyganiewicz, student akademii leśnej, w zapasach z atletą Axą z Wiednia o nagrodę 600 koron. Zapasy potrwają 5 dni, a większość zwycięstw rozstrzygnie o tem, komu ma być przyznaną nagroda. Resztę programu wypełnia równie sensacyjne produkcye.

Komitet katolicko-narodowy dla wyborów do Rady miejskiej wydał program swój, a raczej zestawienie żądań, których spełnienia domaga się od Rady miejskiej i przeto zaleca wybrać do Rady takich mężów, którzy daliby rękojmię, iż o spełnienie tych żądań będą się usilnie starali. Żądania te są w streszczeniu następujące: budowa szkół ludowych w dzielnicach, w których ich brak; przeprowadzenie reorganizacyi magistratu, przygotowanej już od kilku lat; ubezpieczenia miejskich robotników we własnej, miejskiej kasie chorych; opieka i pomoc dla drobnego handlu i rzemiosła; skuteczne poparcie przez gminę budowy kościoła św. Elżbiety; zaprowadzenie spoczynku niedzielnego w sklepach i szynkach podczas głównego nabożeństwa; zamykanie szynków w sobotę wieczorem; zmniejszenie liczby szynków nocnych; wprowadzenie w życie uchwalonej jeszcze przed trzema laty reorganizacyi dobroczynności publicznej; popieranie prywatnych usiłowań w dostarczaniu ludności ubogiej tanich mieszkań; używanie do budowli miejskich materyału krajowego i sił głównie miejscowych; wpływ na kierownictwo sceny w kierunku niedopuszczania do gorszących przedstawień; wprowadzenie w życie miejskiego lombardu; oświetlenie przedmieść gazem; zniżenie opłaty akcyzowej od najniezbędniejszych środków żywności, rozszerzenie kolei elektrycznej. Wreszcie wspomniawszy o potrzebie pomnożenia i polepszenia straży policyjnej, komitet katolicko-narodowy żąda, by zmieniono regulamin Rady miejskiej tak, ażeby Rada nie zajmowała się drobnostkami, a za to miała więcej czasu do zajęcia się kwestyami ważnemi. W ogólności zaś pragnie komitet, ażeby Rada kierowała się zawsze chrześcijańską sprawiedliwością i dobrem ogółu, aby wzgląd osobisty nie miał do Rady przystępu, a miasto nasze ażeby spełniało zaszczytne zadania, które mu przypadają jako katolickiej i polskiej stolicy kraju.

Pożar. We dworze państwa Smoleńskich w Chreniowie, pow. kamioneckiego, wybuchł ubiegłego tygodnia pożar, który zniszczył dom mieszkalny, kilka sztuk bydła i narzędzia rolnicze, jakoteż budynki trzech włościan.

Wypadek z naftą. Z Krakowa nam donoszą: Dziesięcioletnia Gitla Gemeinerówna rozlała na podłogę naftę, a chcąc zatrzeć ślad przed rodzicami, rozlany płyn zapaliła i usiłowała potem zdeptać płomień nogami; jednakże doznała tak silnego poparzenia, że wczoraj umarła. Przeciw rodzicom wdrożono śledztwo z powodu braku dozoru nad dzieckiem.

Przyboczna Rada dla budowy dróg wodnych jest już całkowita. Składa się ona z 40 członków i tyluż zastępców, mianowanych w połowie przez wydziały krajowe interesowanych krajów, a w połowie przez rząd. Przewodniczącym rady jest minister handlu br. Call, zastępcą przewodniczącego szef sekcyi dr. Franciszek Stibral. Z Galicyi wchodzą w skład rady: a) z ramienia wydziału krajowego jako członkowie: Mieczysław Onyszkiewicz, Włodzimierz Kozłowski, dr. Antoni Górski, dr. Arnold Rapoport, a jako zastępcy: Andrzej Kędzior, Albin Rayski, Ludwik Ramułt i Eugeniusz Oleśnicki; b) mianowani przez rząd: jako członkowie: Teofil Merunowicz, prof. Józef Richter, pełnomocnik dóbr krzeszowickich Juliusz Siegler d' Eberswald i hr. Antoni Wodzicki, a jako zastępcy: ks. Andrzej Lubomirski, dr. Tadeusz Rutowski i prof. Tadeusz Sikorski.

Powszechne wykłady uniwersyteckie. W środę dnia 12 b. m. w szkole realnej (ul. Kamienna 2) o godz. 7·30 Dr. P. Kuczera: „O chorobach wysypkowych (ospa, szkarlatyna, odra) i o wściekliźnie".

Kronika karnawałowa. Doskonale bawiono się wczoraj na Strzelnicy, na wieczorku „Klubu pocztowego". Dość powiedzieć, że do kadryla stanęło 108 par, a więc tyle ile w tym karnawale nie było na żadnym balu.

W sprawie braku pracy we Lwowie była wczoraj u p. namiestnika deputacya socyalistów. Namiestnik oznajmił deputacyi, że niebawem uda się w sprawach urzędowych do Wiednia i dołoży starań, aby rząd centralny pozwolił jak najrychlej, skoro ustali się pogoda, na dalszą pracę około budowy biblioteki uniwersyteckiej i dworca kolejowego. Namiestnik wyraził też życzenie, aby członkowie deputacyi wpłynęli uspokajająco na robotników, niemających chwilowo pracy, i aby czuwali nad tem, aby ci robotnicy nie dali się uwieść prowokacyom ludzi niesumiennych, podszywających się pod firmę robotników.

Ceny pieczywa we Lwowie. Magistrat rozporządził, że piekarzom nie wolno samowolnie podwyższać cen pieczywa. Chleb ma być wypiekany o wadze pół i jednego kg., oraz 2 i 3 kg. Mniejszych lub większych po nad tę wagę bochenków wypiekać nie wolno. Cena chleba ma być wyciśnięta na bochenku, a jest ona następująca (za kilogram): chleb żytni ciemny ma kosztować 17 hal., żółkiewski 20, morawski i żytni razowy 22, kulikowski, krakowski i podliski 24, pszenny razowy 25, żytni 26, a pszenny 27 halerzy. Kilogram bułki ma kosztować 44 hal., bułki na mleku („kaizerki") 65, a kilogram rogalków na maśle 1 K. 65 halerzy.

Ślub. W Krakowie odbył się w sobotę ślub hrabianki Maryi Ledóchowskiej z Stefanem hr. Moszyńskim. Błogosławieństwa młodej parze udzielił O. Ledóchowski, prowincyał OO. Jezuitów.

Sławni starzy kawalerowie. Znakomity uczony niemiecki Aleksander v. Humboldt, zapytany pewnego razu przez jakąś pannę, czemu się nie ożenił, odparł jej, iż przez całe swoje życie kochał tylko naukę. Leibniz również umarł nieżonaty. Wyznawał on zasadę, iż człowiek powinien przez czterdzieści lat myśleć nim się na krok tak ważny jak małżeństwo zdecyduje. Ale kiedy uznał wreszcie, że się sam już dostatecznie namyślił i oświadczył się o rękę pewnej panny, dostał od niej „kosza", bo i ona miała niestety zbyt dużo czasu do namysłu. Współczesny Leibnizowi matematyk angielski Newton nigdy też nie zaznał rozkoszy małżeństwa. Sam zarządzał swojem gospodarstwem domowem i niejednokrotnie sam przygotowywał sobie obiady.

Jaki tam ład w tym domu panował, można sądzić z wielu anegdot o jego życiu. Znana jest np. historya o tem, jak pewnego razu, chcąc sobie zgotować jajo, rzucił zegarek do wrzącej wody, a sam z jajem w ręce stał w kuchni i czekał. Rousseau, który również umarł kawalerem, w ostatnich latach swego życia był niemożliwie tyranizowany przez własną kucharkę. Współczesny mu francuski filozof Voltaire umarł tak samo nieżonaty. Trzej najsłynniejsi poeci włoscy Dante, Tasso i Petrarca poumierali w kawalerskiem stanie, a z poetów hiszpańskich dzielił ich los pod tym względem, Calderon. Trzej najwięksi artyści wszystkich czasów Rafael, Michał Anioł i Leonardo da Vinci, byli nieżonaci. W nowszych czasach wielu starych kawalerów zasłynęło na polu nauki i sztuki, że wymienimy Kanta, Schopenhauera, Beethovena, Schuberta, Grillparzera, Hamerlinga, Roquette'a,

Brahmsa i t. d. Z wybitnych polityków współczesnych trzech tylko było starymi kawalerami: Gambetta, Caprivi i Windhorst.

Dążność do małżeństwa jest człowiekowi wrodzona i starokawalerstwo bywa zazwyczaj wynikiem nietyle własnej i nieprzymuszonej woli, ile przeróżnych nieobliczalnych kombinacyj życiowych. Zdarzają się jednakowoż i „urodzeni starzy kawalerowie“, jeżeli można użyć takiego określenia. Do nich w pierwszym rzędzie należeli np. dwaj znakomici Niemcy: filozof Kant i muzyk Beethoven. Kant był wogóle nieprzyjacielem kobiet, specyalną zaś nienawiść czuł do kobiet uczonych. „Potrzebują one książek — mawiał — tak samo jak i zegarków. Noszą zegarki tylko, żeby je mieć, bo zwykle... nie nakręcone“.

Beethoven słynął z dziwactw. Dzień w dzień przed południem zajmował się spisywaniem swoich wrażeń, po obiedzie wychodził na spacer, to znaczy galopem nieomal dwa razy dokoła obiegał dzielnicę miasta, w której mieszkał. I, żeby najstraszniejsza burza szalała na dworze, nie zważał na nic, szedł na swój zwykły spacer. W mieszkaniu jego panował nieład, który sobie wyobrazić trudno. To mu jednak nie przeszkadzało długo i szeroko rozwodzić się nieraz nad swojem zamiłowaniem do porządku.

Zkąd powstał wyraz „bojkot“? Dużo się pisze i mówi obecnie o bojkotowaniu, a niewielu zapewne zdaje sobie sprawę z tego, skąd ten wyraz pochodzi. Bojkot jest właściwie imieniem własnem, tak jak Lloyd. Kapitan angielski nazwiskiem Boycott, zarządca dóbr hrabiego Erne w hrabstwie irlandzkiem Mayo, uciskał drzierżawców hrabiego do tego stopnia, że cała opinia publiczna zwróciła się przeciwko niemu. Unikano go wszędzie, nikt nie chciał dla niego pracować, sprzedawać mu, lub kupować od niego cokolwiekbądź. W r. 1880 nienawiść ludności do Boycotta tak wzrosła, że celem zebrania plonów musiał sobie sprowadzić robotników z odległych okolic; musiano im dodać silny oddział wojska dla ochrony, gdyż inaczej ludność hrabstwa Mayo nie pozwoliłaby im przystąpić do pracy. Boycott musiał wreszcie pod osłoną wojska opuścić okolicę. Odtąd uznanie kogoś za zapowietrzonego pod względem ekonomicznym zaczęto najpierw w Anglii, a potem i w innych krajach nazywać „bojkotem“ lub „bojkotowaniem“.

Zmarli. W Kutach Józef Sroczyński, długoletni burmistrz Kut i prezes Rady pow. kossowskiej, lat 83. — W Tarnowie Paweł Misiągiewicz, sekretarz sądu obwodowego, lat 50.

Ofiary. Na odbudowę spalonej części klasztoru na Jasnej Górze złożyła Ludmiła Zoffalowa ze Lwo-

A od tych marzeń promieniują inne smutne sny — sny, w jakiś kir fantastyczny przybrane, jak ta wizya pt. „Czaszka“.

W otchłaniach nocy świeci fosforycznie
Wprost mojej głowy żółta czaszka trupia
I oczodoły szydersko wyłupia,
Śmiejąc się do mnie smutnie i cynicznie.
W mistycznym locie śniąc melancholicznie,
Z pęt się zmysłowych dusza wyskorupia,
A ona patrzy ohydna i głupia,
W pomięte róże strojna fantastycznie.
W tych jam potwornych grobowej omroczy
Widzę: tam moje paliły się oczy,
Tam chciwe usta szalały rozrzutnie.
W całunie nocy przeraźliwie jasna,
Nawpół spróchniała moja czaszka własna
Śmieje się do mnie cynicznie i smutnie.

Jeżeli porównamy dawne proste wiersze Or-Ota z jego najnowszemi utworami, to musimy przyznać, że wchodzi on w sfery coraz wyższe i coraz przenikliwiej sięga w zjawiska ducha ludzkiego. Jakieś Swinburne'owskie tony budzą się u niego i powstaje w nim to, czego mu brakło: pewne metafizyczne odczucie bytu. Trudność w sformowaniu metafizyki powstała w Or-Ocie skutkiem jego zapatrzenia się w przeszłość i w historyę; rozmiłowany w matejkowskim przepychu barw i postaci, szukał on w dziejach kolorytu i wyrazu dla swej mowy. Dekoracya opanowała go w znacznym stopniu, niemniej jak erudycya językowo-historyczna. Nikt pono wśród poetów tak nie włada językiem archaicznym jak Or Ot; nikt również tak nie cieniuje różnych okresów dziejowych. Wiek XVI („Żaki,“ „Zofka,“ „Peregrynacya“) — ma u niego rysunek świetny i pełny kolorytu. Wiek XVII maluje nam Or-Ot w najnowszej swej rzeczy „Patrycyuszka“. Nawiasem mówiąc, dramat ten stanowi nowy przełom w twórczości Or-Ota i zapowiada nowy jego okres dramatyczny.

Wiek XVIII „Król Staś“, „Łazienki“, „Książe Pepi“ są to motywy, które Or-ot z prawdziwą precyzyą medalierską odtwarza. Wiek XIX przywołuje mu postać Napoleona, czasy Księstwa warszawskiego; celuje Or ot w obrazach wojennych (Somo-Sierra). Nakoniec typy z lat niedawnych zebrane pt. „Stare miasto“ malują nam szereg postaci z romantycznych murów starej Warszawy. Niektóre z tych pieśni są prawdziwemi perłami (Fara, Rym o muzykusie). Słowem, jest to panorama dziejów kraju, a zwłaszcza Warszawy. Ambicyą Or-ota było stać się poetą par excellence warszawskim, jak to powiada w przypisku „Starego miasta“. Jednakże rozszerzył on widnokrąg i staje się poetą history-

tylko tem, że wielcy odbiorcy poczyniwszy znaczniejsze zapasy, które wystarczą im na kilka tygodni, chwilowo nie rozbijają się o pszenicę.

Bądź co bądź wobec tego, że zapasy pszenicy w monarchii są stosunkowo bardzo małe, a do nowych zbiorów jeszcze tak daleko, utrwala się niezachwianie przekonanie, że chcąc czy nie chcąc będziemy musieli sprowadzać pszenicę zagraniczną, bo na węgierską nie mamy co liczyć, gdyż sami Węgrzy nie wiedzą, czy wystarczą im ich własne zapasy. Cena pszenicy w Peszcie jest obecnie tylko o 10 halerzy niższa od wiedeńskiej, podczas gdy różnica powinna wynosić przynajmniej koszta transportu z Pesztu do Wiednia. Ta niemal równość cen peszteńskich i wiedeńskich świadczy wymownie o tem, że Węgrzy nie dowierzają swoim zapasom.

Urzędownie notowano wczoraj pszenicę cisańską (77 do 80 kilo) 10 koron do 10·45, banatkę (74 do 78 kilo) 9·50—10·25, słowacką (76 do 80 kilo) 9·60—10·10, z doliny Morawy (77 do 79 kilo) 9·70—9·90.

Żyto mniej od pszenicy dotknięte było tendencyą zniżkową i obniżyło się w cenie tylko o 10 do 15 halerzy. Obroty w życie były też bardzo nieznaczne. Płacono: za słowackie (72 do 75 kilo) 8·15—8·30, rozmaite węgierskie (71 do 74 kilo) 8·05—8·20, austryackie (72 do 75 kilo) 8·—8.25, rumuńskie i serbskie 7·60—7·90; żyto na wiosnę 7·98—8·06.

Kukurydza utraciła zupełnie zeszłotygodniowe zwyżki cen zarówno w handlu towarem gotowym jak i terminowym. Konsumcya bowiem wewnętrzna jest stosunkowo nieznaczna, a zagraniczne ceny nie umożliwiają eksportu. Za starą kukurydzę płacono 5·60 do 5·70, za nową 5·50 do 5·60, na maj—czerwiec 5·62 do 5·67.

Popyt o jęczmień był dosyć ożywiony, a tendencya stała. Za morawski płacono 8 do 9·25, słowacki 7·30 do 8·80, ze stacyi nad środkowym Dunajem 7·35 do 8·50, cisański 6·85 do 7·75, jęczmień na paszę 6 do 6·50.

Wyjątkowo silną była tendencya na targu owsa. Niewielkie zakupna wystarczyły, by podnieść cenę o 15 halerzy na 50 kilogramach. Płacono: pośledni gatunek 7·70 do 7·80, średni 7·90 do 8, prima 8·15 da 8·60, rumuński i bułgarski 7·70 do 7·95, — owies na wiosnę 7·81 do 7·94.

Arabowie zglosili swe wotum przeciwko żądaniu zaprowadzenia konstytucyi, jako sprzeciwiającemu się ich interesom.

Berlin 11 lutego. Parlament niemiecki obradował wczoraj nad etatem ministerstwa sprawiedliwości. P. Schroeder omawiał sprawę pojedynków i zaznaczył, że rząd powinien okazać szczerą wolę ich usunięcia. P. Gröber żądał, aby za pojedynki karano najmniej sześciomiesięcznem więzieniem. P. Roeren, przyłączając się do wywodów mówców poprzednich, wyraził zdanie, że pojedynek powinien być tak samo karany, jak każda inna zbrodnia.

Kanton 11 lutego. Gmach berlińskiego Towarzystwa misyjnego spaliły tłumy, wrogo dla chrześcian usposobione. Misyonarzom udało się uciec.

Budapeszt 11 lutego. W miejscowości Nagy Szöllös wykryła żandarmerya bandę fałszerzy monet. Wiele osób, między niemi właściciela dóbr Aleksandra Farekasa, aresztowano. Przywódzca bandy Michał Bocskor, były egzekutor podatkowy, umknął do Ameryki.

Haga 11 lutego. Rozpowszechnione wczoraj pogłoski, jakoby delegaci boerscy starali się o list żelazny celem podróży do Afryki południowej — są nieprawdziwe. Tak samo nieprawdziwe są pogłoski o oziębieniu się stosunków między Krügerem a delegatami boerskimi i o zamiarze Krügera przeniesienia się do Genewy.

Rzym 11 lutego. W stanie zdrowia Henryka Siemiradzkiego nastąpił zwrot pomyślny.

Rzym 11 lutego. Arcybiskup X. Władysław Zaleski, b. delegat apostolski w Indyach wschodnich, powraca w kwietniu do Indyj.

Berlin 11 lutego. Bank państwowy zniżył dyskont wekslowy na 3%, a stopę procentową lombardu na 4%.

Barcelona 11 lutego. Strejkujący robotnicy wtargnęli do warsztatów, w których jeszcze pracowano; przyszło do bójek. Wdała się w to żandarmerya i wiele osób aresztowała. W pewnej miejscowości w prowincyi Cordova tłum napadł na urzędników miejskich. Jednego z urzędników zabito, a siedmiu poraniono.

Londyn 11 lutego. Kitchener telegrafuje z Pretoryi pod datą wczorajszą: Straty Boerów poniesione w ostatnim tygodniu, wynoszą 69 zabitych i 17 rannych. 575 Boerów wzięto do niewoli, 57 poddało się. Generał French donosi, że konwój złożony z 60 wozów, który podążał do Beaufort na wschód od Praterburgu, i eskortowany był przez

58)

TYBERYUSZ

POWIEŚĆ

przez

J. Evans Wilsona.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartinghowa.

(Ciąg dalszy).

Szybkim ruchem pan Dunbar nasunął krepowy welon na twarz Reginy i wziąwszy jej ramię, wyprowadził ją na korytarz. Półgłosem zamienił parę urywanych słów z dwoma oficerami, którzy towarzyszyli mu do bramy, pod którą na odgłos gwizdawki podjechała zamknięta parokonna kareta, za którą tuż szedł posępny wehikuł, przeznaczony do transportowania więźniów. Deputowany szeryfa wystąpił naprzód, usiłując ochronić nieszczęsną dziewczynę przed siekącym deszczem i wsadził ją do karety, do której pan Dunbar wskoczył za nią. Oficer skinął na stangreta, aby ruszył z miejsca, a sam wsiadł do idącego z tytułu wehikułu i kazał jechać za karetą.

Zegar na miejskiej wieży wybił dziesiątą, a dźwięki jego, przedzierając się przez nawałnicę, w ciemną, zimową noc szły grobowem echem za opuszczoną, zniesławioną kobietą, napiętnowaną odtąd piętnem Kaina.

Odrzuciła w tył welon, aby zachwycić nieco powietrza spalonemi usty, a siedzący naprzeciwko pan Dunbar widział w świetle przydrożnej latarni, że rysy jej były zesztywniałe i marmurowo blade. Naraz zagadnęła go nienaturalnie spokojnym i jakby półsennym głosem:

— Cóż to miał znaczyć — ten wyrok?

— To, że wróciłaś pani do Elm Bluff bez powziętego z góry zamiaru zamordowania jenerała Darringtona.

— Ale że poszłam okraść go, i ażeby uniknąć wykrycia zabiłam go? Tak?...

On milczał.

— Odpowiedz mi pan. To było znaczenie tego wyroku? To było najmiłosierniejsze przypuszczenie, jakie nasunęło się sędziom przysięgłym?

Szum nawałnicy, bijącej o szyby powozu, był jedyną odpowiedzią.

Dojechali do mostu, kiedy konwulsyjne łkanie zbudziło nagle z zadumy młodego prawnika, który jechał z rękami, skrzyżowanemi na piersiach, szalejących bólem nie do zniesienia.

— Kraść... rabować... zabijać!... Napiętnowana po wieczne czasy jako złodziejka i morderczyni!... Ja... ja... o Boże!...

Głuchy jęk rozpaczy wydarł się z zaciśniętego jej gardła.

— Ja!... pieszczona, ubóstwiana córka mego ojca, wtrąconą mam być do żywego grobu... zrównaną z wyrzutkami społeczeństwa... ze zwyrodniałemi istotami, które wstyd, że ziemia ta święta nosi! Czyż to nie stokroć gorsze od śmierci samej? Czyżby się nie okazali miłosierniejszymi, odbierając mi to zmarnowane przez nich życie?... Ale żeby mnie skazywać na taką hańbę... takie katusze powolnego konania!... — to nieludzkie!... Umrzeć byłoby tak łatwo... ale żyć... żyć z tem piętnem zbrodni na czole! O Boże!... Boże!... Czyś zaprawdę opuścił mnie?!

Wiła się w bólu przed przerażającem widmem losu, którego nigdy nie przedstawiała sobie dotąd. Ale po chwili bohaterska jej dusza stłumiła jęk grozy, podjęła brzemię wstydu i odważnie poniosła go dalej krzyżową drogą zaparcia. Opanowawszy śmiertelne dreszcze, które nią wstrząsnęły od stóp do głowy, milcząca i uspokojona wsparła się o głąb karety.

— Mogłem cię uratować, ale odrzuciłaś moją pomoc — wybuchło z piersi prawnika. — Niweczyłaś każdy mój wysiłek, krępowałaś ręce, które mogły cię oswobodzić i dobrowolnie, rozmyślnie przez cały czas procesu ściągałaś tę karę na swoją głowę. Oddawałaś się sama w ręce sprawiedliwości, aby odpokutować za cudzą winę.

Jesteś sprawczynią własnego losu, boś postanowiła umrzeć, aby ocalić życie tego nędznika! Możesz więc dziś uzbroić się w cierpliwość na te lat kilka, przez które pozbawioną będziesz jego widoku, w tem przeświadczeniu, że osiągnęłaś pożądany cel twoich zabiegów, zapewniając mu bezkarne bezpieczeństwo, a kiedyś może jeszcze osiągniesz nagrodę twego poświęcenia, łącząc się z swojem splugawionem, zbezczeszczonem bożyszczem! Badałem cię, śledziłem, obserwowałem... i każdą kartę twego życia znalazłem czystą, to też w głowie mi się pomieścić nie może, aby istota tak nieskalana, tak wielka i szlachetna, jak ty, perły swego uczucia ciskać mogła w takie błoto.

Ciemności nocy zasłaniały twarz Reginy, a jej milczenie ubodło tak do żywego młodego prawnika, że, tracąc wszelkie panowanie nad sobą, zawołał:

— Dniem i nocą brzmi mi w uszach i przyprawia o szaleństwo twój oskarżający okrzyk: „Złamałeś mi życie"! Bóg świadkiem, że i ty złamałaś mi moje! Jesteś pomszczoną, jeżeli zemsta zadowolić cię może, ale jam niezdolny do twojego szczytnego zaparcia. Jam nie męczennik, ale samolubny człowiek. Ty lubujesz się w popiołach zgliszczy; ja zamierzam uprzątnąć gruzy, aby na nowo zbudować na nich gmach nadziei, którego wszystkie potęgi piekieł nie potrafią naruszyć. Między tobą a mną walka dopiero rozpoczęta i tylko twoja śmierć albo mój tryumf może położyć jej koniec. Ty trzymasz w ręku twoją zemstę; ja rozkoszować się będę moją. Choćby jak kret skrył się pod ziemię, albo zaprzepaścił w obszarach Alaski, wyśledzę tego łotra, a kiedy sprawiedliwość dosięgnie rzeczywistego winowajcę, wtedy ty będziesz oswodzoną z zarzutu, oswobodzoną z więzienia, a co najważniejsze, będziesz oswobodzoną na zawsze od brudnego zetknięcia z tym nikczemnikiem.

Za katusze, któreś mi zadała, będę pomszczonym, nie dopuszczę nigdy, aby on cię sprofanował imieniem żony! —

Konie z natężeniem wspinały się pod skalistą górę walcząc z wichrem i ulewą i wkrótce czarny gmach więzienny, jak przyczajony w mrokach potwór, wyłonił się z ciemności.

W dwóch oknach drugiego piętra paliło się światło, przedzierając się migocąco przez gęstą, szarą mgłę, niby czerwone ślepia drapieżnego zwierza.

Powóz zatrzymał się przed gmachem. Za chwilę potem deputowany szeryfa wyskoczył z wozu i zadzwonił u bramy. Dwa psy zaszczekały groźnie. W głębi usłyszano brzęk kluczy.

Regina pochyliła się naprzód.

— Panie Dunbar — rzekła — mam do ciebie ostatnią prośbę. Chciałabym dostać moją... moją... tę fajkę, którą pokazywano w sądzie. Wstaw się, aby mi ją oddano. Zrobisz to?...

Stłumione, zaledwie dosłyszalne przekleństwo, było jedyną odpowiedzią.

Ona wyciągnęła dłoń i łagodnie, prosząco położyła na jego ręce.

— Tyleś mnie namęczył... Nie odmówisz przecie tej jedynej łaski, której od ciebie żądam.

Ręka jego silnie, nerwowo, zacisnęła się na jej dłoni.

— Jeżeli ci ją przyniosę, czy wyznasz kto ją palił ostatni?

— Po tem, co zaszło dzisiaj, sądzę, że lepiej, abyśmy się już nigdy więcej nie widzieli w życiu.

Oficer otworzył drzwiczki powozu. Zawiadowca więzienia podszedł z latarką w jednej ręce, a parasolem w drugiej. Pan Dunbar wysiadł z powozu, potem odwrócił się, wyciągnął ramiona, schwycił Reginę i nagłym, namiętnym ruchem przycisnął ją do piersi, potem postawił na ziemię.

Zawiadowca otworzył bramę, unosząc w górę latarnię, w mdłym blasku której Lennox Dunbar ujrzał przepiękną, bladą twarz, smętne gwiaździste oczy i klasyczne usta, skurczone spazmem niewysłowionego bólu.

Odwróciła się, nie mówiąc ani słowa i poszła za swoim dozorcą. Światła zamigotały, wielka, żelazna brama skrzypnęła na zawiasach, zatrzask zasunął się, klucz zgrzytnął w zamku, łańcuch opadł i wszystko znikło i ucichło w ciemnościach żywego grobu, w którym nieszczęsna ofiara została nieodwołalnie zamkniętą.

Koniec tomu pierwszego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni E. Winiarza